

1

Osiem świeczek w torcie

Tort był malinowy z bitą śmietaną. Właśnie wciskałem świece. To wcale nie jest proste wetknąć osiem świeczek, żeby stały w bitej śmietanie prosto jak świece. Na dworze było tak gorąco, że ludzie zostawiali buty w asfalcie i musieli się wracać, żeby je wyciągnąć z rozpuszczonej mazi. Mamusia z kuchni wołała, że jak się będę tak guzdrał, to za chwilę cały tort się roztopi i moi goście będą go musieli pić zamiast gryźć.

„Co się będę klócić” — pomyślałem, oblizując palce, bo właśnie przykleiło się do nich trochę śmietany.

Zadzwoił dzwonek — trzy razy krótko i raz długo. Mamusia otworzyła drzwi:

— Jak to miło, Filipku, że przyszedłeś na urodziny Grzesia. No wchodź, prosimy.

— Czołgiem — powiedział Filip i dał mi prezent, który kupił dla mnie jego mamusia.

Były to praktyczne kapcie na futerku. Moja mamusia podziękowała Filipowi i go pocałowała.

— Ja i tak jestem lepszy, już dawno skończyłem osiem lat, chyba miesiąc temu — powiedział Filip — a ty jesteś smarkacz, bo ja mam już prawie dziewięć lat. Ale co mi szkodzi, ostatecznie możemy się trochę pobawić.

Zapaliłem świece, ale zaraz musiałem je zdmuchnąć, bo traciły równowagę i się wywalały. Filip powiedział, że na jego urodzinowym torcie świece paliły się przez trzy godziny bez przerwy i wcale się nie wywraçały. Widać jego tort był solidniejszy w konstrukcji.

Zadzwoił dzwonek, przyszedł tatuś. Powiedział:

— Cześć, chłopaki! Co, zaczynamy się starzeć?

I już więcej nie mieliśmy na kogo czekać, bo były wakacje i wszyscy gdzieś powyjeźdzali. Mamusia pokroiła tort. Piliśmy moje zdrowie coca-cola. Filip zjadł pierwszy i po-

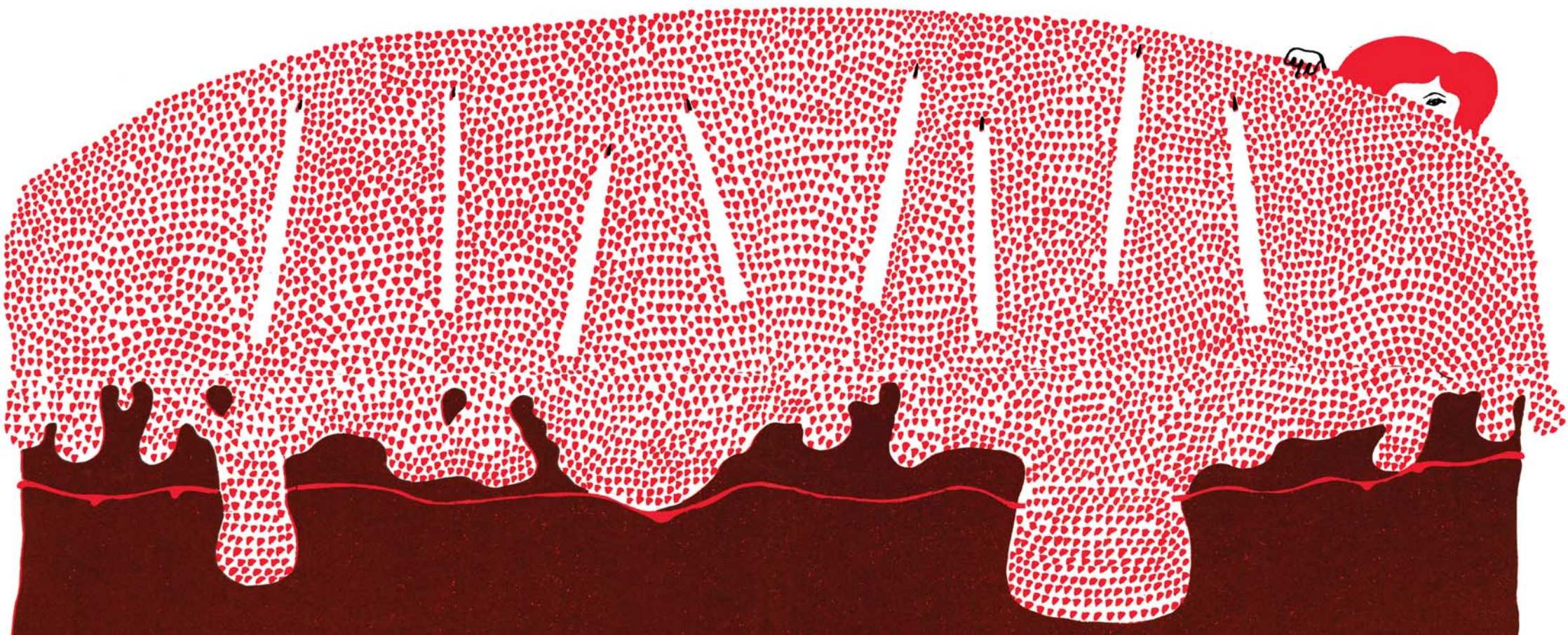
wiedział, że możemy się już bawić w wojnę, w wysadzanie domów, w zaminowywanie, bo on jest wspaniałym strzelcem na bliskość i dalekość i nie może przy stole marnować swojego talentu.

— Albo ostatecznie możemy się bawić w dzikie szczepy — dodał i wyszedł do przedpokoju. Przyniósł worek na kapcie i wyciągnął z niego karabin maszynowy. — Tatata, tatata — puścił serię.

Widać nie przełknął jeszcze całego tortu, bo jak ją puszczał, to opluł nas tortem i bitą śmietaną. Mamusia powiedziała, że nie będzie nam przeszkadzać w męskich zabawach, i poszła do drugiego pokoju.

— Proszę pana, niech pan upadnie. No, szybko! Pan jest zabity! — krzyczał na mojego tatę Filip Gołębek. — Co się pan rusza?

Tatuś poszedł wtedy za mamą, a Filip rzucił karabin na ziemię i powiedział, że takich głupców pierwszy raz w życiu widzi, aż mu się niedobrze robi od czegoś takiego, że jeżeli ja myślę, że on przyjdzie do mnie jeszcze kiedyś na urodziny, to się grubo myślę, żebym to sobie z głowy wybił,



bo on woli w nosie dłubać albo samemu ćwiczyć celność niż tutaj przychodzić i się denerwować. Schował z powrotem karabin do worka.

— Zjem jeszcze kawałek tego tortu i już sobie idę, żebyś czasem nie myślał, że tylko żartuję.

Przełknął kawałek, powiedział: „Czołgiem!” — i naprawdę sobie poszedł.

Za chwileczkę znowu zadzwonił dzwonek, trzy razy krótko i raz długo, ale gdy otworzyłem, nikogo nie było. Usłyszałem tylko głos Filipa:

— Nie myśl sobie czasem, że wróciłem. Chciałem się tylko spytać, co dostałeś na urodziny, bo ja cztery czołgi, tomahawk, rewolwer na kapiszony... No to czołgiem!

Tatuś zamknął drzwi od swojego pokoju, ale słyszałem, jak kłóci się z mamusią.

— Nie myśl, że mnie uwiążesz. Każdy ma swoje życie. Trudno, stało się, wszystko przemija, z uczuciami też tak bywa. Nie ma sensu robić scen.

Byłem pewny, że po twarzy mamusi płyną łzy, bo nagle zaczęła mówić dziwnym, mokrym głosem:

— Urodziny Grzesia, no, chociaż dzisiaj, proszę cię, zostań.

Poszedłem do siebie, bo wiem, że nie powinno się nikogo podsłuchiwać, i postanowiłem nic nie słyszeć. Z tego wszystkiego się rozplakałem. Schowałem się za firankę i moje łzy spadały aż z dwunastego piętra. Kap, kap, jedna na parapet, jedna na ulicę. Pomyślałem, że gdyby w naszym domu wszyscy naraz zaczęli płakać, to ludzie na dole by myśleli, że pada deszcz. Spojrzałem w lusterko i od razu zauważyłem, że jestem już naprawdę stary. Widać, że mam już osiem lat, a nie żadne siedem. I już wiem, że starzenie się jest smutną sprawą, najsmutniejszą chyba ze wszystkich.

Poszedłem do mamusi, była sama i smutna, może nawet trochę bardziej ode mnie, bo moje łzy już wyschły, a mamusi ciągle jeszcze płynęły po policzkach. Tort przestał być tortem, był już tylko budyniem malinowym. Tatuś wyszedł, nawet nie zauważyłem kiedy, pewnie na ważną konferencję albo na prace zlecone. Tłumaczyłem mamusi, żeby przestała się martwić i płakać, bo dzień urodzinowy

właściwie niczym się nie różni od nieurodzinowego. Mnie wcale nie jest smutno, nic a nic, powiedziałem jeszcze. Przez cały czas patrzyłem jej prosto w oczy, żeby nie wzbudzać podejrzeń, całe szczęście, że było już trochę ciemno.

Nagle mamusia powiedziała, że jest bardzo niedobłą matką, bo zapomniała o najważniejszej rzeczy. Kazała mi zamknąć oczy i liczyć do dwudziestu bez żadnych oszukaństw. Od razu domyśliłem się, o co chodzi, kiedy skrzypnęły drzwi od szafy w przedpokoju. Był tam schowany prezent dla mnie. Znalazłem go już bardzo dawno temu. To były płetwy i maska do nurkowania.

— Już można? — pytałem, żeby nie psuć mamusi niespodzianki. — Już mogę otworzyć oczy?

— Raz, dwa, trzy, otwieraj! — zawołała mamusia i zaczęła składać mi oficjalne życzenia i mnie całować.

— To wspaniały prezent, nigdy bym się nie spodziewał, że wpadniesz na taki męski pomysł — powiedziałem i założyłem płetwy na nogi. — Jestem żaba i będę skakać do wody. Kum, kum — rechotałem.



Wtedy coś zachrobotało w zamku i poruszyła się klamka.

— Kto to może być? — zdziwiła się mama. — Przecież nikt nie ma klucza!

W jednej sekundzie pomyślałem: „To złodziej albo bandyta. Tatuś jest na konferencji i ja muszę bronić mamy”. Zrobiło mi się niedobrze w brzuchu, tort malinowy zaczął się przesuwać we wszystkie strony. Przełknąłem ślinę. Szkoda, że Filip Gołąbek obraził się i poszedł ze swoim pistoletem. A swoją drogą, ten bandyta to jakiś zwariowany facet. Nic, tylko szuka odpowiedniego klucza. Ja też szukałem jakiegoś sposobu na niego i przyszła mi do głowy pułapka. Dół w podłodze, do którego bandyta by wpadł i się przewrócił. Na zrobienie dołu nie było już czasu, bo on nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Mamusia z kuchni spytała:

— Kto to może być?

Biedna, nic nie wiedziała, że już za moment zaczną się dziać w naszym mieszkaniu straszne rzeczy. Całe szczęście, że stałem w płetwach i miałem większą powierzchnię,

